

miłośnika — Adama Samborskiego. Zako-
chał się ów pan i na strunach skrzypiec wy-
śpiewywał cały ogrom uczucia — zaponina-
jąc o swej czeladzi, wśród której rej wodzily
dzielne samce — kaczor — kogut — kpiące
wróble, szczygły, zięby, sikory — głupi in-
dyk — i pies, włóczęga wsiowski, Komornik.
Niedługo jednak włóczyła się dusza jego po
rozłogach smutku, gdyż pod ożywczemi pro-
mieniami wzajemności — niwa serca roz-
kwitła całą tęczą kwiatów, przepychem wio-
nianego szczęścia. — Wyszedł o świcie
w pola, by ubierać dla umiłowanej bukieł
sasanek, gdy nagle wzrok jego przykuły
został do morderczego wyścigu zająca z ja-
--rzębiem. Zdało się, że żadna moc nie zdoła
ratować owego szarego kłębka przerażeń,
który rzucił się to tu, to tam, sadził prosto,
skręcał w bok, łamał bieg, kluczył, aż wpadł,
szczęśliwem zrzadzeniem losów, w gęste
haszczyny. Tu już na nie nie zdążył się ciosy.
na nie szpony — usiłujące rozerwać zwarte,
cierniste sklepienie, kryjące zdobywcę. Jastrząb
poszybował w dalszą wędrówkę. — Adam
usiłował odszukać szarego zbiega. Gdy zbliżył
się do krzaków, kilka zającej umknęło. Jeden
tylko przerażony tą nieoczekiwaną wizytą —
zamarł w bezruchu. Wziął go Adam do domu.
Cała podwórzowa gromada nawet nie zainte-
resowała się przybysem. Tylko pies i kot
zaznaczyły swój wrogi stosunek. Dłuższy
czas zając był osowiały i bez humoru. Później
zaprzyjaźnił się z drobiem. Do kota nie czuł
zaufania, a ilekroć ten się doń przybliżał,
czmychał do Adama. Pies zachowywał się
napozór obojętnie, zajęty walkami z całą
hodłą wsiowskich zabijaków, o względy Azy.
Plastyka z jaką Wiktor opisuje te zmagania
i zaloty, jest jedyną w swoim rodzaju. —
Zając — tymczasem rozmiłował się w mu-
zyce swego pana i godzinami całemi potrafił
wysłuchiwać się w tony skrzypek. Tu czuł się
najlepiej — bezpieczny od psa. Bo choć Ko-
mornik nieraz ciegły zbierał od Adama za na-
pastowanie Kubusia, nie potrafił przemówić
w sobie zazdrości. Widział bowiem, jak
„zając okrada go z darów przyjaźni, które
dawniej w całej swej szczerobliwości były
jego własnością“. Aż Kubuś zniknął. Kot,
który go był polubił, osowiał i szukał towarzy-
sza zabaw po całych nocach. Samborski chce

Stanisław Kaszycki.

Ołom twoja.

Ugięły się godziny pod tęsknotą brzępieniem.
Nadnosny ból tajemnych, trwożnych oczekiwań
Spojrzał w oczy oblędem, legł na duszy
[cieniem...]
Jakiś straszne Nieznane kusi i przyzywa.
W mózgu tańczą minuty wściekłą pantomimą.
Spojrzenia twe zmięły rytm mego oddechu.
Głos mój szepcem bezdusznym w zmierzchu
[się rozplynał].
A w ustach drżących czuję cierpki przedsmak
[grzechu].

Całujesz — i ustami zcałowujesz twogę
Z pragnących ust mych, z oczu i z piersi
[i z ramion...]
Nic nie wiem i niczego zrozumieć nie mogę,
Bo myśli sobie przeczą i wzajemnie kłamią.

Usta twoje na moich legły dni tęsknotą.
Pocałunek twój na pierś spadł wiecznym
[niesytem].
Twoje ręce kołyszą słoneczną pieszczotą.
I prężą me ramiona stu wiosen rozkwitem.
Rozszumniało się serce, jak drzewa na wicherze.
Krew w skroniach uderzyła szalonym tęten-
[tem].
I palą mnie twe słowa ciche, coraz cichsze,
W twojej piersi zuchwałej, jak w ogniu
[poczęte].

Czy to kwiaty tak pachną, czy ten zmrok —
[czy cisza?]
Na oczy sypią śnieżny pył kwiatac drzewa...
Czas już moją rozkoszną niepamięć podsły-
[szał...]
— Ołom twoja i w twoich ramionach omdle-
[wam].

Franciszek Lipiński.

Zima.

...mroźna szyba pali się zima biała — —
W mały pióropusz śniegu ziemię drzemiącą
[stroj].
Mróz cierpki, mumiujący, rumieni nasze ciała,
Wkrada się w ciepło chatkę i malowanych
[pokoi].
W biały krajobraz zimy bez tęczy i zieleni
Łaskawe blaski słońca wpadła, jak strzały
[złote]
I w duszy udręczonej mękami codziennymi —
Zapala ogień święty za wiosną tęsknoty!
Gdzieś, na dalekich polach, cisza zimowa
[śpiewa]
O życiu swem w dni zimne, o nadziei dalekiej,
ze przyłeci tam lato, żyto będzie dojrzewać
takie samo pachnące, jak przez wszystkie
[wieki!]

go graniem przywabić, szedł w pole ze
skrzypkami. Zając wylaniał się ze zbórz, lecz
zażywszy już swobody, nie chciał powrócić
do domu-więzienia. Codzień jednak przycho-
dził słuchać. Pewnego dnia, gdy Adam
w uniesieniu wygrywał serce swoje, wy-
padł z krzaków Komornik, jak orkan niena-
wiści i po chwili walki strzęp zająca rzucił
do stóp swego pana.

Czyż potrzebne są do dzieł Wiktora słowa
mędrkującego krytyka — napuszone komen-
tarze? Samą treść podać, okraszoną czasem
słowami autora — oto co powinno wystar-
czać za wywody — dowody — i przemądre
analizowanie tych, sercem i potężnym talen-
tem, kreślonych powieści.

Porzucił szlachetny poeta świat zwierzęcy
i zstąpił na dno życia, by opisać żywot nę-
dzarki — sprzedawczyni gazet w szczytowem
swem dziele: „**Tęczy nad sercem**“.

Gospodynią była na morgach. Za długi
męża-pijanicy musiała sprzedać dobytek.
Opuszczona zamieszkała w mieście, w norze
pod schodami. — Dzień cały sprzedawała
dzienniki. „Mozół dni płynął jak czarna rzeka,
a jednak do nikogo nie czuła żalu, nikt
nigdy nie słyszał skargi“. Nieraz gdy wracała
późnym wieczorem do swej zatęchłej nory,
zastawała drzwi wywalone, a w izbie nieład.
To mąż demolował gniazdo tego łachmanu
ludzkiego, szukając pieniędzy na wódkę
i dziewczki.

Ilekroć starowina siadala pod murem,
by sprzedawać „Kurjera“ i zapalki, wnet
zbiegowisko ptaków i psów bezdomnych
czyniło gwar koło swej dobrodziejki, która
sama będąc uosobieniem nędzy, dzieliła
ostatni kęs z niemi. I szczęśliwą się czuła
wśród tej gromadki, wdzięcznej jej za złoto
uczucia i dobroci, ta patronka nędzarzy.
sam wśród nich najnędzniejsza, najbardziej
opuszczona.

Nadeszła wigilia. Spędziła ją wśród za-
wiei, na ulicy, gdy na barłogu jej przytułek
znalazło dziecko bezdomne i pies. Przesła-
wały się przed jej oczyma obrazy prze-
szłości — wieś, gromada, dawne święta.
Przyplątał się do niej kogut zbiegły z targu
(opis targowiska godny pióra Reymonta!).
Zostawał przy niej dzień cały. Na noc gdzieś
się gubił, by znów o świcie znaleźć się przy
niej. Zaprzyjaźnił się z psem i razem wy-
szukiwali po śmietnikach kęski godne ich
niewybrednego podniebienia. Raz zniknął
na kilka dni, aby powrócić z kurą — zbe-
reżnik.

Gdy wiosna nadeszła, babka o świcie wy-
mykała się za miasto, na pola, tęsknotą cią-
gniona ku tym łanom, których już nie danej
jej będzie uprawiać. W niedzielę, gdy sprze-
dała gazety szła za miasto — ku wsi — by
napoić serce płomieniami uniesień. Ptaki jej
śpiewały, gadzina podnosiła oczy oblane
poczułością, cała natura śmiała się do niej,
słońce inaczej tu świeciło. Zdało jej się, że
za życia była w niebie. I choć mieszkala
w mieście, jednak żyła wśród złotych łąnów.

Człowiek — Artysta.

„Homo sum, humani nihil a me alia-
pum puto“. Zdanie Terencjusza zastoso-
wać można do wielkiej postaci, Człowieka-
Artysty: — Stefana Jaracza. W zakresie
swoich ról nie pominął Jaracz — oczy-
wiście w granicach możliwości — ani
jednej, któraby nie uplastyczniła postaci
nawskróś ludzkiej, a zatem przyziemnej,
jakże często nieszcześliwej. Nie triumfalny
pochód na koturnach, łaskawie okazujący
ogółowi, dostojność i majestat swego nie-
szczęścia, lecz najzwyczajniejsze troski co-
dzienne, radości i przykrości, rozczarowa-
nia i rojenia w jaknajskromniejszych roz-
miarach, — oto czego jesteśmy świadkami,
dzięki stojącej na nieosiągalnej wprost wy-
żynie „grze“ Jaracza. Ująć należy wyraz:
gra w cudzysłów. Jaracz żyje, nie „grze“.
Jest wielkim artystą, nie tylko wielkim
aktorem. Być tym drugim nie jest tak
łatwo. Moissi nie ma wielu pod tym wzglę-
dem rywali. Skoro jednak porówna się
wrażenia, odniesione po grze Moissi'ego
i po życiu na scenie Jaracza — widzi
się olbrzymią różnicę, zachodzącą pomie-
dzy owemi dwoma pojęciami. Jaracz żyje
na scenie, lecz tak, że nakazuje zapomnieć
o kilkunastu metrach desek scenicznych,
jest wśród nas, razem z nami. A gdy
kurtyna odetnie Jego postać od serc na-
szych, niezapominamy o Nim.

Egotyzm wrodzony jest nam wszyst-
kim. Bez względu na rodzaj postaci, oży-
wionych talentem Jaracza — zobaczymy
w każdej z nich cząstkę siebie samych.
Poruszyły egotyzm ukryty w nas wstydl-
wie, zwalczany i niszczony — jakiej-że
to potrzeba mocy? Chyba takiego władcy
uczucia, jakim jest odtwórca, a równo-
cześnie współtwórca galerji ludzi szarych,
a tak bogatych duchowo, że mogliby za-
wstydić niejednego, nieprzystępnego bo-
hatera gładkich, poprawnych tragedji.

Teatr im. J. Słowackiego ma szczęście

gdzie wszystko jej było w światłości skapa-
ne, dobre, słoneczne...

Nadeszła jesień w habicie smutku i coraz
częściej lzy padały na grude serca Włodar-
czykowej. Umarł jej mąż, pojednawszy się
jednak z Bogiem pod wpływem jej dobroci.
Ostała sama „Mozół, nieszcześcia, zawody,
upadki — złożone były na stos ofiarniczy,
który płonął zmieniał lzy i smutek w we-
sele. Do duszy spływała pogoda, ten uśmiech
Boży, słowo pokory, które święty Franciszek
z Asyżu — siewca miłości rozrzuca
po ęgach świata“.

Znów nadeszło Boże Narodzenie. Stru-
dzona życiem Włodarczykowa ułożyła się do
snu. Daremnie dnia następnego czekały dzie-
ci bezdomne — ptaki — i pies na staruszkę.
Leżała na swym barłogu, i jeno przejasny
uśmiech wykwił na ustach tej — co „prze-
wiązała ziemię i niebo tęczą serca, zbunto-
wanego dobrocią“.

Najszytniejszym wyrazem miłości fran-
ciszkańskiej obdarzył nas ten apostoł mi-
łości, składając dzieło swe na ołtarzu kul-
tury narodowej. — Czy dar ten bezcenny
nie został zapoznanym i skalanym — okaże
przyszłość. Dziś tylko w najgłębszym holdzie
pochyłam czoło przed najpiękniejszą gwia-
zdą, zrodzoną z serca i talentu, jaka się po-
jawiała na firmamencie sztuki polskiej.

Jak zapowiedziałem przy „Legendzie,
o Grajku Bożym“ wracam z Wiktorem do
ptaków. Wyszedł z pod jego pióra isticie sera-
ficki poemat: „**Golebie przy kościele**“. Jak
wszystkie zwierzęta Wiktora, tak w tym wy-
padku owe ptaszęta stają przed naszeni
zachwyconemi czymś, przystrojone w szatę
człowieczeństwa, natchnione duszą ludzką,
opromienione miłością poety. Utwór ten po-
winien sięgnąć wszędzie, by ludziom dać
w chaosie współczesności, ukojenie — jasny
promień serca — i tchnienie przeczyszczonej
poezji. By zrozumieć Wiktora, trzeba w so-
bie odszukać serce, dziś tak bardzo za-
pomniane i zaniedbane, i dać mu bić ryt-
mem poddanym przez tego wirtuozą.

Golebie, owi błazenkowie boży, wyszu-
kali sobie schron przy kościele. Tam żywot
swój pędzą i gruchają Chrystusowi swe
smutki i radości. A wielki Golebiarz uśmie-
cha do najmilszych swych ministrantów
i błogosławi im. Powierzają mu swe mi-
łości, w jego obliczu przeżywają grozą tętnią-
ce wypadki.

Opisując piękną tego poematu „leży
poza granicami krytyki — dlatego wstrzy-
muję się i nie brnę dalej. Wiem tylko
jedno, że aby wywnieść godnie tę kryszta-
lową czarę niepokalanego upoju, trzeba
odsłukać w sobie duszę ludzką! W zgiełku
współczesności ogłuchnięcie na głosy serca
własnego i nie słyszenie już nawet myśli
swoich! Szeceł broni, jazgot żądzy, warkoł
mistrzów i brzęk a szelst pieniądza — zabił
w was Człowieka! Wiem aż nadto dobrze, że
w jazzbandzie współczesnego życia, czaru-
jące, przeczyste tony harfy eolskiej, będą

dyssonanseni, ale może są jeszcze ludzie,
którzy umieją kochać Piękno i Pięknem się
rozkoszować. Ci podejdą do twórców Wikt-
tora — jak do życiodajnej krynicy i sprag-
nieni, czystego serca w niej szukać będą!
Jeśli zaś idzie o wartości literackie, to autor
„Tęczy nad sercem“ stoi na pograniczu mię-
dzy Dygasińskim a Reymontem.

Niema odcienia duszy, którego by się nie
można było doszukać na palecie Wiktora.
Zwierzęta i ludzie — to tworzy żywe —
nie z fantazji zrodzone, aczkolwiek swym
talentem potrafi we wszystkim ujrzyć czar
poezji i nam go przekazać. Jest on jednym
z tych nielicznych, którzy potrafili się wżyć
w duszę wszystkiego, co cierpiące i skrzyw-
dzone — ując blaski i nędzę wszechświata —
a nie ludzkiego ni zwierzęcego nie jest mu
obcem. Postacie jego doskonale skreślone,
figury skończone, drgające wszystkimi pul-
sami rzeczywistego życia, wykute pewną
ręką aż do najdrobniejszych odcieni, wbijają
się w pamięć plastyką i soczystością barw,
jakimi dysponuje ich twórca. Pogłębione
są owe typy psychologicznie, dzięki świetnej
obserwacji — znakomitej umiejętności wni-
kania w duszę wszystkiego, co żyje i kol-
osalnej sile ekspresji. W utwory Wiktora
można się wczytywać z podziwem i miłością.
Śmiały i bujny temperament porywa go nie-
raz w otklanie bytu — to znów wynosi na
szyty ekstat — wszędzie po zawrotnych
wirach życia — by dojść do pełnego po-
znania.

O stylu Wiktora wyraził się jeden z naj-
poważniejszych krytyków, że zdobyć się nań
może tylko szlachciec z krwi i kości. Nawskróś
polski — nawskróś artystyczny, czy to
w świetnie opanowanej gwarze podhalań-
skiej, czy w języku ulicy, salonu lub ewan-
gelistycznym.

Dziś, kiedy porzucił tematy ze świata
zwierzęcego i przerzuca się na niwę spo-
łeczną, należy spodziewać się rewelacji
artystycznych — tak w powieściach z życia
emigrantów polskich we Francji (w „**Strze-
pach**“) — jak i w „**Zwarjowaniu mieście**“
dziele o współczesności. W obu nie ten sam
Wiktor, jakiego znaliśmy dotychczas —
przyszłość rozstrzygnie który z nich większy?

Alfred Woycicki

Aniela Daszewska.

Szpital.

Lamp nocnych wokoło światłość grzązka.
W ramion gorące obreże bierze mnie go-
[rączka].

Biegną, wirują szeregi łóżek —
Nagle zmęczone — przysiadły:
Białe tabliczki mają w górze.
Srebrny nerw rてci
Zawrotnie tańczy w termometrach —
Gorączka głucho rzezi.
Śmierć walczy z życiem — chytra —
Kościstym palcem
Łamane kreśli błyskawice
Na czystych, białych tablicach.
Łóżka — tablice — zbiegły w popłochu.
Z kątów szpitalne wypylży szlochcy.
Jęk długi — boleśnie pelza poprzez sale,
Przez drzwi, przez mroczne pelza korytarze —
W ciemne się wlewa zakamarki:
Cierpienia grają wargi!
W murach szpitala
Ta pieśń gra nocą.
Znów biegną łóżka rzędem,
Wśród niespokojnej ciszy,
Zdają się instrumentem
Niestrojnych, rozbitych klawiszcy.

Zenon-Koterba-Dziuban.

Światowidowa śmierć.

Pewnie się wtedy wierzbą kapala w siwym
[stawie],
a zielona topola patrzala słońcu w oczy,
gdyś umierał związany powrozami wrzawy
Światowidzie — bogu dębowy i... moczny.
Siła i boskość jest jak krzak werweny
na grzędzie czworogrannej: grobie ładnej
[panny].
Cóż z tego, że na wiosnę zakwitają kwiaty,
skoro wiedną z pokrzywą i miętą w jesieni.
Rodzi się w nas co rana dębowy Światowid,
ale umiera wieczór, kiedy lzy kapią z pod
[powiek],
a słońce lasem-grzebieciem łniane przygląda
[włosy].
Niech będą pochwalone wiersze dojrzale jak
[kłosy —]
i ziarna słów idących po tęczy do Boga.
— Śmierć jest godziną szczęścia — truimna
[kołyską ze złota].

Wincenty Hlouszek.

Kaskada.

W kamiennej rymnie zlebu
belitwa dudni woda,
po głazach, jak po schodach,
na glazy skacze z nieba.
Na skoczni z skał do skoku
prostuje się, jak narciarz —
i od lawiny warciej
mknie — — w kwietny dolin spokoi